

Conocne rozmowy z samym sobą. O „Dziennikach” Tomasza Manna

Egon Naganowski

Roztrząsania i rozbiory

Conocne rozmowy z samym sobą. O „Dziennikach” Tomasza Manna

Pamięci Ireny, mojej Żony i Współpracowniczki —
poświęcam

Dzieje „Dzienników” i ich charakter

Lubię przytrzymywać uciekający dzień w jego zmysłowym, a także aluzyjnie w jego duchowym kształcie i znaczeniu, i to nie tyle dla przypomnienia i ponownego przeczytania, ile w sensie obrachunku, rekapitulacji, uświadomienia sobie i wiążącej kontroli...

Tak Tomasz Mann napisał w swoich *Dziennikach* dnia 1 II 1934 i tak też pojmował ich sens chyba od samego początku, sięgającego gimnazjalnych czasów autora. Tyle, że te wczesne i zresztą również późniejsze diariusze nie zachowały się, bo Mann już w 1896 roku oddał swoje młodzieńcze zapiski na pastwę płomieniom (by te zapiski zaraz znowu kontynuować!), potem zaś, w maju 1945, spalil w ogrodzie swego domu w Pacific Palisades w Stanach Zjednoczonych wszystkie *Dzienniki* prowadzone do lutego 1933, w sumie 5118 stron w 32 grubych zeszytach, z wyjątkiem czterech datowanych od 11 września 1918 do 1 grudnia 1921. Dlaczego tamte, obejmujące blisko 35 lat, zniszczył, a te zachował? Odpowiedź wydaje się dosyć prosta. Otóż wolno przypuszczać, że przez owo spalenie Mann chyba chciał przede wszystkim, choć nie wyłącznie, usunąć nazbyt jawne dowody swoich homoseksualnych skłonności i przeżyć. Liczył się przecież z tym, iż zapiski, które zrazu traktował

jako ściśle tajne, mogą trafić w niepowołane ręce lub zostać kiedyś ogłoszone, czemu pragnął zapobiec. W najbliższej rodzinie wiedziano wprawdzie, że je pisze, ale nikt nigdy nie śmiał do nich zajrzeć, nawet nie mógł, bo autor trzymał je pod kluczem. Jeżeli zaś chodzi o zeszyty z lat 1918–1921, to zachował je jako materiał do rozpoczętej w marcu 1943 pracy nad *Doktorem Faustusem*, a potem o nich zapomniał i zapakował je oraz zapieczętował jeszcze w USA razem z resztą dotychczasowych diariuszy, umieściwszy na wszystkim napis po angielsku: „Dziennikowe zapiski z lat 1933–1951. Bez wszelkiej wartości literackiej, ale nikomu nie wolno ich otwierać przed upływem dwudziestu lat po mojej śmierci. Tomasz Mann”. To samo zastrzeżenie, potwierdzone przez Erikę Mann, dotyczyło też dalszych *Dzienników* doprowadzonych przez autora do 1955 roku, do roku jego śmierci. Dla porządku warto tu zaznaczyć, że równoległe do zeszytów-diariuszy Mann wypełnił, od 1893 do czasu zaraz po pierwszej wojnie światowej, 14 nie datowanych notatników, które mają jednak przeważnie zupełnie inny charakter i służyły odmiennym celom. Stanowią bezładną mieszaninę szkiców do dzieł i postaci, wyciągów książek, gazet, czasopism i kalendarzy, spisów adresów, telefonów, bielizny do prania, połączeń kolejowych itd. I choć również w nich bywają pewne wzmianki bardziej intymnej natury, to jednak nie na tyle „kompromitujące”, żeby Mann kiedykolwiek zamierzał te małe zeszyty formatu kieszonkowego zniszczyć lub obwarować zakazami. Przy pisaniu *Dzienników* Mannowi przyświecały pewne wzory literackie, co jasno wynika z różnych adnotacji. Dowiadujemy się z nich, że autor w latach 1918–1919 czytał z aprobatą dziennikowe zapiski Fontanego, Delacroix i zwłaszcza Tołstoja. W grudniu 1918 wyznał:

Obok Goethego jest on wśród nieprzemijających twórców tym, którego forma życia najbardziej mnie pociąga i którego usposobienie we wszystkich swoich przejawach najbardziej bezpośrednio pobudzająco do mojego przemawia.

W późniejszym okresie miejsce Tołstoja zajmie pod tym względem przede wszystkim i jeszcze bardziej wyraźnie Goethe ze swoimi *Dziennikami* oraz *Zmystleniem i prawdą*. Między diariuszami Manna z okresu 1918–1921, a tymi z lat trzydziestych, są jednak tak wielkie różnice uwarunkowane zmianami w sytuacji politycznej Niemiec i Europy oraz związaną z nimi przemianą w zewnętrznej i wewnętrznej biografii pisarza, że zapiski obejmujące koniec pierwszej wojny światowej i lata zaraz po niej oraz zapiski z lat 1933–1936 należałoby dla jasności obrazu zaprezentować oddzielnie.

Egocentryzm, homoerotyzm, „dzieciątko” i reszta rodziny

W *Dziennikach* Manna przede wszystkim zwraca uwagę skrajny egocentryzm i hipochondria autora, cechy, które w późniejszych latach jeszcze się wzmogą. Pisarz wciąż zajmuje się swoimi rozlicznymi dolegliwościami fizycznej i psychicznej natury. Perypetie z zębami i wizyty u dentysty, „uporczywe obstrukcje” lub „skłonności do biegunki”, nudności, bezsenność i dawkowanie fanodormu, uderzenia krwi do głowy, poczucie lęku, niepewności, zmęczenia, wyczerpania, osłabienia, niemocy — już w wieku czterdziestu paru lat — wszystko to jest wielokrotnie opisane. Podobnie jak częste strzyżenie i mycie włosów, posiłki w domu i restauracji, co autor jadł, ile co kosztowało, ile dał napiwku. Otrzymując w 1920 roku 500 marek za jedno spotkanie autorskie skrupulatnie notuje, że u fryzjera zapłacił 8 marek, a specjalnie wynajętemu służącemu, który podawał na uroczystości urodzinowej w domu, wręczył 10 marek, przy czym szampan był 64 marki za butelkę. Sam Mann nie bez racji wyrzucał sobie skąpstwo, zwłaszcza gdy się zważy, że dzięki wciąż nowym wydaniom jego utworów i początkowo znacznej pomocy ze strony zamożnych teściów, już przed pierwszą wojną światową i również później pędził zaiste książęcy żywot, mimo trudnych powojennych czasów i coraz liczniejszej rodziny.

Z rodziny tej w owych latach najbardziej i najtkliwiej kochał „dzieciątko”, czyli urodzoną w 1918 roku córkę Elżbietę („Lizę”, „Medi”), a ponadto wyróżniał jej najstarszą siostrę Erikę i „uroczego” syna Eissi, czyli Klausea (ur. 1905 i 1906), dosyć obojętnie natomiast, krytycznie lub nawet z niechęcią, odnosił się nieraz do syna Golo (ur. 1909), do córki Moniki („Moni”, ur. 1910) i zwłaszcza syna Michała (ur. 1919, zwanego „Misza”, później „Bibi”). „K.”, czyli żona Katia pojawia się prawie na każdej stronie *Dzienników*, widać, jaką olbrzymią rolę grała w codziennym bytowaniu Manna i całej rodziny. Pisarz nie lubił pozostawać sam w domu, Katia była mu wciąż potrzebna, na niej wszystko się opierało, ale z rzadka zdarzają się adnotacje, że kocha swoją „biedną, małą K.”, która zaiste nie miała łatwego życia ze swym wymagającym i chwilami porywczym mężem. Jak skądinąd wiemy, Katia (ur. 1882), pochodząca z profesorskiej rodziny, była pierwszą w Monachium abiturientką, egzamin dojrzałości zdała *summa cum laude* (Mann mimo kilku prób nie zrobił matury!), potem studiowała matematykę i fizykę u swego ojca. Znani malarze monachijscy Kaulbach i Lenbach czuli się szczęśliwi, że mogli portretować tak ponętą dziewczynę, która w 1905 r. porzuciła studia dla autora *Buddenbrooków*.

Nie da się jednak ukryć i sam Mann z tym się nie kryje w swoich zapiskach, że estetyczne zadowolenie i zmysłowe pożądanie wzbudzał w nim głównie, choć nie wyłącznie, widok nagiego chłopięcego ciała. Charakterystyczna jest pod tym względem dziennikowa notatka z lipca 1920 r., kiedy autor „odwiedził” Katię, ale bez powodzenia.

O rzeczywistej impotencji chyba nie może tu być mowy, lecz raczej o zwykłym zagmatwaniu i zawodności mojego „życia płciowego”. Niewątpliwie chodzi tu o słabość podniety z powodu pragnień idących w innym kierunku. Jak by to było, gdyby „leżał” przede mną chłopiec?

Nawet własny syn Klaus, dwunastoletni Eissi, budzi w nim niezupełnie ojcowski zachwyty. Z drugiej strony uważał Mann kazirodczą „miłość ojca do córki, będącej młodocianą repliką matki (...) za coś bardzo naturalnego”. Oczywiście wszystko to były przejawy uczuć, pożądań i rozważań wyłącznie teoretycznych (co do miłości Manna do młodych przyjaciół przed poznaniem Kati a częściowo i później nie ma takiej pewności), które jednak znalazły wyraźne odbicie w twórczości autora *Śmierci w Wenecji* i *Tonia Krögera*. Do spraw rodzinnych, Katii i dzieci później jeszcze powrócimy. Tymczasem trzeba poświęcić chwilę uwagi stosunkowi pisarza do innego pisarza, do brata Henryka.

Obaj byli niezwykle drażliwi i neurotyczni, to nie ulega wątpliwości. I niemal od swoich literackich początków konkurowali ze sobą. W tej konkurencji Tomasz Mann był już przed pierwszą wojną światową wyraźnie góram, głównie dzięki *Buddenbrookom*, których nakład w latach 1901–1911 osiągnął ponad 60 000 egzemplarzy (to się wówczas nieczęsto zdarzało), a z licznych książek Henryka Manna żadna do 1914 roku nie ukazała się nawet w 5000 egzemplarzy. Później do rywalizacji literackiej doszły również animozje polityczne. Kiedy Henryk ogłosił jesienią 1915 roku esej o Zoli, będący zakamuflowanym pamfletem przeciwko wilhelmowskiemu Niemcom i wojnie, Tomasz zareagował na to niemalże histerycznie, uważając że brat skierował ostrze głównie przeciwko niemu, co zresztą się nie zgadzało. Natomiast olbrzymi, 600-stronicowy esej Tomasza *Rozważania człowieka apolitycznego*, wydany w 1918 r., a utrzymany w duchu konserwatywnym, antydemokratycznym i szowinistycznym, był zwrócony jednoznacznie przeciw Henrykowi jako rzecznikowi zachodniej, zwłaszcza francuskiej cywilizacji i Tomasz wylansował w związku z nim pejoratywnie nacechowane określenie *Civilisations-literat*. Ale wraz z upadkiem cesarstwa i przegraną przez Niemcy wojną karta się odwróciła. *Poddany*, napisany przez Henryka jeszcze za czasów cesarstwa, mógł się teraz okazać i odniósł wielki sukces, a jego autor zrazu zajął czołową pozycję literacką w republice weimarskiej, podczas gdy *Rozważania* po początkowych dużych pochwałach nie miały już

takiego powodzenia i zaczęły uchodzić za książkę anachroniczną. Wszystko to wzbudziło pomieszaną z zazdrością wściekłość Tomasza i dopiero w 1922 r., kiedy Henryk ciężko zachorował, nastąpiło pewne pojednanie. Dosyć jeszcze kruche, bo z kolei w 1924 r. *Czarodziejska góra* okazała się wielkim sukcesem, a w 1929 r. Nagroda Nobla dla Tomasza znów usunęła jego brata zupełnie w cień, co ten oczywiście bardzo odczuł. Ale tu mówimy już o czasach nie objętych *Dziennikami*. Do tematyki stosunków między przez lata zwaśnionymi braćmi powrócimy, kiedy obaj znajdują się na emigracji w 1933 roku.

Od nacjonalizmu do komunizmu i z powrotem

Nastawienie Tomasza Manna w sprawach politycznych było bardzo różne od jego późniejszych opcji, a przy tym pełne sprzeczności i niespójnych kombinacji myślowych. Konserwatyzm, liberalizm, socjalizm, a chwilami również komunizm mieszały się w zapiskach w najosobliwszy sposób, przy czym tylko jeden element był stały: poczucie, że Niemcom dzieje się krzywda oraz nienawiść do państw ententy. Nie przyjmując do wiadomości, że Niemcy wczesną jesienią 1918 r. faktycznie już dawno przegrały wojnę, Mann pisze 18 września, iż żądanie, żeby one „przed przystąpieniem do wstępnych pertraktacji [pokojowych] opuściły okupowane tereny bez uzyskania, również z góry, jakichkolwiek koncesji od drugiej strony, jest oburzające”. Autor, wciąż jeszcze zacadzony nacjonalizmem, uważa, iż wojna została niemieckiemu narodowi narzucona, naśmiewa się z Wilsona („akurat amerykański profesor musiał przyjść, aby za pomocą 14 punktów naprawić świat”), domaga się potraktowania Niemiec zgodnie z ich „zasługami”, bo tego wymaga sprawiedliwość:

Co poczucie sprawiedliwości może mieć przeciwko temu, żeby Niemcy były wielkie i silne, skoro wielkość i siła wypływają z prawa i natury?

Wobec rewolucji w Niemczech Mann ma nadzieję, iż wybuchnie ona również w krajach ententy i jest przy tym zupełnie ambiwalentnie nastawiony do bolszewizmu. Zapisuje 13 listopada 1918:

Z troską zwracam się przeciwko ustanowieniu proletariackiej dyktatury klasowej w Niemczech, która byłaby w najwyższym stopniu tworem nieniemieckim i wrogim kulturze.

Lecz później powiada:

Radek, bolszewicki agitator, przebywa w Berlinie i pracuje tam nad doprowadzeniem do wspólnej wojny przeciwko entencie. To byłoby może mniejszym szaleństwem niż utrzymuje nasze mieszczaństwo. Prawdopodobnie, że powstałaby dzięki temu socjalistyczna republika światowa, która odciążyłaby Niemcy.

Pod koniec marca 1919, dając upust swej nienawiści do „zgrai zwycięzców”, wyznaje wprost:

Jestem w stanie wybiec na ulicę i krzyzczeć „Precz z kłamliwą demokracją zachodnią! Niech żyją Niemcy i Rosja! Niech żyje komunizm!”.

A potem w kwietniu notuje:

W Augsburgu strajk generalny i żądanie ogłoszenia republiki rad, jak też przyłączenia się do Rosji i Węgier. Z punktu widzenia polityki zagranicznej z pewnością nie miałbym nic przeciwko temu.

Kiedy jednak w maju biali wkroczyli do Monachium, czytamy w *Dziennikach*:

sądy doraźne nieźle „robią porządek”, czego z pewnością nie należy żałować. Ku memu zadowoleniu z miasta zniknęły czerwone chorągwie [...]. Korpus Eppa wkroczył w najlepszej postawie witany entuzjastycznie. Jak na gust matki K., wszystko wygląda zbyt „militarystycznie”, ale ja jestem pełen zrozumienia i uważam, że pod wojskową dyktaturą oddycha się o wiele swobodniej niż pod panowaniem hałastry [tj. między innymi „żydowskich literatów” — E. N.]

Lektury

Pisząc „o żydowskich literatach” Mann miał na myśli przede wszystkim „groteskowego i żalosego” dramaturga i pacyfistycznego publicystę Wilhelma Herzoga, bliskiego przyjaciela Henryka Manna, „kolegę” Kurta Eisnera, pisarza i krytyka teatralnego, który stanął na czele rewolucyjnego rządu bawarskiego i został już w lutym 1919 r. na ulicy zamordowany, oraz poetę i dramaturga Ericha Mühsama, jedną z czołowych postaci Bawarskiej Republiki Rad. Mimo że Mann raz był przeciwko niej, raz jej sprzyjał, bo komunizm ma „olbrzymią zaletę wrogości w stosunku do ententy”, choć z drugiej strony jest „kulturalnym hotentotyzmem”, to jednak te polityczne awersje czy preferencje nie wpływały na lektury pisarza. Ta sfera była dla Manna przeważnie poza wszelką polityką.

Zachwyca się „śmiałością i wielkością” *Dziewczyny o złotych oczach* Balzaka, artyzmem Tołstoja i Czechowa, *Demianem* Sinclaira, czyli Hermanna Hessego, uważa, że *Nie morderca jest winien, lecz zamordowany* Werfla stanowi interesującą lekturę, podobnie jak opowiadania Franza Kafki (na które zwrócił mu uwagę w 1921 r. znakomity recytator Ludwig Hardt), z podziwem pisze o *Błogosławieństwie ziemi* Hamsuna, dosyć osobliwie skojarzonym z „poetycko odczutym komunizmem, albo raczej poetycko przeżywanym anarchizmem”, bardzo pochlebnie wyraża się o noweli Sologuba *Pocahunek nowo narodzonego* „ze wzruszeniem i aprobatą” czyta *Podróż do Akwizgranu* oraz powieść *Wieża*

Babilońska Josefa Pontena. W związku z nią Mann dosyć dokładnie określa, co ceni w literaturze:

Książka jest bardzo dobra, surowa w krytyce ludzi, marzycielska jak lubię, bogata w drobne artystyczne i poetyckie myśli i pomysły, dosadna i szorstka — sugestywna w swoich spostrzeżeniach [...] a jednak subtelna, uwznioślona, poetycka, symboliczna, uduchowiona. Naprawdę coś bardzo niemieckiego.

Natomiast nabija się z książki Wassermanna *Christian Wahnschaffe*, choć „zamierzenie jest ambitne”. Zarzuca jej brak autentyzmu, niczego w niej „nie należy brać zbyt poważnie. Takie jest moje faktyczne wrażenie, choć napisałem mu (tj. Wassermannowi) o powieści w najwyższych tonach”. To w ogóle charakterystyczne dla Manna, zwłaszcza w późniejszych latach, że z różnych powodów (często z dobrego serca, jak utrzymywała w rozmowie ze mną Erika Mann) publicznie lub w kontaktach z danymi autorami chwalił pozycje, które mu się naprawdę wcale nie podobały. „Niestety napisałem ze słabości i uprzejmości wiele zakłamanych listów z podziękowaniem za otrzymane książki — przyznał samokrytycznie w październiku 1918 r. — i niestety wiele jeszcze takich listów napiszę”. I rzeczywiście napisał.

Pokrewieństwa z wyboru

Mann przeważnie myślał przy lekturze o swoich dziełach, cudze utwory kojarzył z własnymi, wspomagały go, wykrywał pokrewieństwa. I tak uważał, że wspomniany *Demian* Hessego „wykazuje najosobliwsze podobieństwo” do powstającej wówczas *Czarodziejskiej góry* (autor uprzednio przerwał pracę nad nią dla pisania *Rozważań*). Szczególne znaczenie dla takiego dzieła, pomyślanego pierwotnie jako nowela, potem „mała powieść”, miał jednak historiozoficzno-katastroficzny *Zmierzch Zachodu* Oswalda Spenglera. Zrobił on na Mannie ogromne wrażenie. Zanotował 26 czerwca 1919:

Wczorajem kontynuowałem lekturę wielkiego dzieła Spenglera [...] skończyłem wstęp i miałem rosnące poczucie, że odkryłem tu coś ważnego, co może w moim życiu rozpocząć nową epokę. Sposób, w jaki problem historyczny staje się tu problemem obecnych czasów, jest porywający w najbardziej uduchowionym sensie. Osobliwe, że nową scenę z chrzcielnicą w *Czar. G.* napisałem zanim wziąłem do ręki książkę Spenglera.

Jest ona dla Manna „pokrewna”. Rola, jaką gra w niej „problem czasu” — pisze dalej — „robi na mnie głębokie, tajemnicze wrażenie, bo od 1912 czy 1913 r., kiedy dzieło Spenglera dopiero powstawało, zagadnienie to zajmuje mnie jako zasadniczy motyw *Czar. G.*”

I jeszcze pod koniec lipca 1919 dodaje:

Wczoraj skończyłem pierwszy tom Spenglera z najwyższym zainteresowaniem. Niezwykle ważna książka.

W ogóle w związku z *Czarodziejską Górą*, nad którą pracuje gdzieś od września 1918, a na dobre od kwietnia 1919, pojawia się sporo wzmianek. „Wczoraj myślałem z ochotą i nadzieją o *Czarodziejskiej górze* — czytamy już 27 lutego tego roku — co zawdzięczam inspiracji czystego, twórczego ducha Goethego”. W powstającym dziele, powiada autor, „intelektualna rozbudowa tematu jest wieloraka, to wędrówka po świecie myśli, humanizm i pożądliva mistyka ciała mieszają się ze sobą. Mann jest zdumiony, że u Novalisa znajduje myśli, które nasunęły mu się „przy penetracji świata *Czar. G.*”

Jest ona, tak jak *Hochsztapler* [Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla, rozpoczęte jako nowela w 1910 r., ukończone jako powieść w 1954] na swój parodystyczny sposób humanistyczno-goethowską powieścią edukacyjną a H[ans] C[astorp] ma nawet pewne rysy W[ilhelma] Meistra, tak jak mój stosunek do niego przypomina stosunek Goethego do swego bohatera, którego z czułym wzruszeniem nazywa „biedaczyskiem”

— pisze Mann w czerwcu 1921. Dorzućmy jeszcze, że w pierwotnej, potem przerobionej wersji powieści Settembrini był poniekąd wystylizowany na Henryka Manna, a jego antagonistą, jezuita Naphta, noszący pewne rysy Georga Lukácsa, nazywał się wówczas pastor Bunge. Upřednio Mann łudził się, że dzieło ukończy w tymże 1921 roku, lecz nastąpiło to dopiero we wrześniu 1924 roku.

Mimo, że od połowy 1919 r. *Dzienniki* stały się mniej polityczne, to jednak o twórczości autora, poza *Czarodziejską górą*, nie dowiadujemy się zbyt wiele. Można tu jedynie wspomnieć o pisanych wówczas „idyllach” — jak je Mann nazywa: *Pan i pies* (nowela przeważnie nazywana *Bauszanem*, bo tak się ten pies i zarazem pies autora wabił), i zwłaszcza *Pieśń o dzieciątku*, czyli o małej Lizie — Elizabeth. Dla pracy nad tym poematem pisarz czyta różne utwory w heksametrach — Mörikego, Vossa, a przede wszystkim Goethego, także Hölderlina, którego liryka zrobiła na nim „głębokie wrażenie”. Dezynfekowanie chorego uszka małego dziecka zaraz wykorzystuje literacko („pół heksametru do poematu”) i w ogóle eksploatuje wszystko, co dotyczy ukochanej istotki i jej matki. W styczniu 1919 pisze:

Po herbacie czytałem K. gotowe części poematu. Była bardzo wzruszona i wyraziła tylko sprzeciw wobec przedstawienia spraw najbardziej intymnych. Ale to najintymniejsze jest zarazem najbardziej powszechnym i ludzkim, a zresztą nie rozumiem tego rodzaju skrupułów.

Muzyka

Bodajże więcej niż na temat utworów literackich znajdujemy w *Dziennikach* uwag o muzykach i muzyce, która Manna zawsze

i przez całe życie fascynowała i zajmowała, czego najlepszym dowodem będzie później *Doktor Faustus*, żywot niemieckiego kompozytora Adriana Leverkühna opowiedziany przez jego przyjaciela. W latach powojennych pisarz przyjaźnił się ze sławnym dyrygentem Bruno Walterem oraz kompozytorem Hansem Pfitznerem, którego opery *Biedny Henryk*, *Palestrina* i inne utwory miały dla Manna duże znaczenie, nie mówiąc już o niebezkrytycznym uwielbieniu dla Ryszarda Wagnera. Chodził z Katią na wszystkie jego opery z *Lohengrinem*, *Parsifalem*, *Tannhäuserem* oraz *Tristanem i Izoldą* na czele. Wciąż odczuwa „wzruszenie przez samą muzykę”, nie potrafił „oddzielić muzyki od łez”. Wszystkie dzieci w domu Mannów były również „wychowywane” muzycznie, wcześniej chodziły na koncerty, same dużo śpiewały i grały, m.in. Mozarta. Jeżeli chodzi o samego Manna i owe czasy, znamienne jest to, że mimo rewolucji, strzelaniny, ogólnej niepewności, bywał jak gdyby nigdy nic na koncertach i wieczorach autorskich. Podczas gdy toczyły się walki między „czerwonymi” i „białymi” o monachijski dworzec, irytował go tylko niepokój na sali i hałas na zewnątrz. Zresztą niczym się specjalnie nie przejmował, niezmiennie odbywał swoje wieczorne spacerunki po parku i na wszystko patrzył trochę niby z teatralnej łoży, jak ktoś trafnie zauważył.

Komfortowe męczeństwo, Goethe i niesyte lanknienie poklasku

Zupełnie inaczej było na emigracji od 1933 roku. Wówczas Mann nie mógł już sobie pozwolić na pozycję obserwatora siedzącego w teatralnej łoży. Siłą rzeczy stał się jednym z aktorów wydarzeń, kiedy nie mógł wrócić z rozpoczętej 11 lutego podróży do Amsterdamu, Brukseli i Paryża, gdzie wygłaszał swój odczyt *Cierpienia i wielkość Ryszarda Wagnera*, i postanowił tymczasem pozostać za granicą. Zaraz, 15 marca, na pierwszej stronie nowego *Dziennika* (wszystkie poprzednie zostały w domu) napisał o „ból rozstania ze stanem rzeczy, do którego od dawna przywykłem, uświadomiłem sobie, iż pewien rozdział mego życia został zamknięty i że trzeba oprzeć moją egzystencję na nowej podstawie”.

Powiedzmy od razu, że ta egzystencja w Szwajcarii i okresowo we Francji nadal utrzymywała się na wysokim poziomie. Materialnie Mannowi powodziło się znakomicie, jak żadnemu innemu emigrantowi. Wprawdzie willa w Monachium (w której Mannowie mieszkali od 1914 do 1933) została obłożona konfiskatą, ale po różnych zabiegach udało się wywieźć 40 skrzyń z książkami, srebrami, odzieżą, bielizną, nawet

niektóre meble, a pieniądze częściowo uratowano dzięki pomocy francuskiej ambasady w Berlinie. Zresztą honoraria nadal napływały z Niemiec, gdzie dzieła Manna jeszcze nie były zakazane. Pisarz wynajął niebawem w Küsnacht, przedmieściu Zurychu, piękny dom (pozostanie w nim do 1939 roku, do chwili wyjazdu do Stanów Zjednoczonych) i kupił sobie fiata za 6000 franków szwajcarskich. „Nigdy nie sądziłem, że tak szybko dorobimy się takiej inwestycji w stylu dawnego życia” — notuje z zadowoleniem 1 listopada 1933.

Mimo to jeszcze o wiele częściej niż dawniej dręczy go „wzmagający się stan podniecenia i zwątpienia (...). Okropne podekscytowanie, poczucie bezradności, drzenie mięśni, niemal dreszcze i lęk, że tracę zmysły” — czytamy w zapiskach 18 marca 1933. Sporo w tym nieodmiennej u niego hipochondrii, chwilami hysterii, lecz istota zagadnienia polega na niepewnym losie emigranta, mimo otaczającego go luksusu. Pisze we wrześniu:

Bardzo źle znoszę niepewność co do przyszłości, improwizowane życie i brak stałych podstaw, które przynajmniej subiektywnie obowiązują na zawsze, aż do śmierci. To właśnie straciłem i nic w tym dziwnego, że namiastki nie można stworzyć z dziś na jutro.

Mann jest wciąż rozdarty między chęcią a niechęcią, ba, niemożnością powrotu do Niemiec, między wydawaniem tam swoich książek i tym samym ocaleniem krajowego niemieckiego czytelnika a przeniesieniem się do wydawnictwa emigracyjnego, mającego stosunkowo wąski krąg odbiorców. W efekcie i pod naciskiem pozostającego jeszcze w III Rzeszy wydawnictwa Bermann–Fischer, swojego wydawcy, idzie na różne kompromisy, odcina się — co prawda z wyrzutami sumienia — od redagowanego przez syna Klause a firmowanego przez Henryka Manna, André Gide’a i Aldousa Huxleya czasopisma „Die Sammlung”, co wśród emigracji musiało wywołać gorzkie rozczarowanie. Przy tym zdaje sobie sprawę, że „takie lawirowanie między zdecydowaniem i koncesjami (...) nie może trwać wiecznie”. Córka Erika tłumaczyła mu to w ostrych słowach. Ale Mann długo się wzdrażał przed ostateczną decyzją. Uważał, że jego powołaniem jest reprezentowanie („mam w gruncie rzeczy jakiś książęcy talent do reprezentowania”) a nie męczeństwo, choćby „komfortowe”, jak je niektórzy złośliwi określali. W marcu 1934 powiada:

Wewnętrzne odrzucenie idei męczeństwa, poczucie jego niestosowności wciąż się znów odzywa, odnawia się akurat teraz i zostało potwierdzone i wzmocnione przez powtórzone przez Liona powiedzenie G. Benna z dawnych czasów: „Czy zna pan dom Tomasza Manna w Monachium? Ma w sobie coś naprawdę goethowskiego”. Fakt, że zostałem wyparty z tej egzystencji, stanowi ciężkie uchybienie wobec stylu i losu mego życia, z którym, jak się wydaje, na próżno staram się uporać, a niemożność jego naprawienia i przywrócenia wszystkiego do dawnego stanu, która wciąż mnie nęka i wynika z każdego kolejnego doświadczenia, rozdziera mi serce.

W tym długim cytacie jest cały Mann, coś z jego niewątpliwej pychy i coś z jego pragnienia, żeby go zestawiano z Goethem, co sam wielokrotnie robił. Jeżeli chodzi o wspomnianą pychę, to mamy na nią sporo przykładów, choćby zapis z 1 września 1933 r. o zamordowaniu w Mariąńskich Łazniach przez nasłanych z III Rzeszy agentów emigranta Theodora Lessinga, lekarza i filozofa kultury, do którego Mann miał pretensje jeszcze przed pierwszą wojną światową. „Przeraża mnie podobny koniec — powiada — nie dlatego, że to koniec życia, ale ponieważ jest taki nędzny i przystoi może takiemu Lessingowi, ale nie mnie”. Wyniosłość Manna płynęła drogą kompensacji z jego faktycznej niepewności siebie, z ogromnej żądzy samopotwierdzenia i uznania, z nienasyconego łaknienia poklasku i oklasków. Po swoim odczycie o Wagnerze wygłoszonym w Bernie notuje:

Burzliwe oklaski na końcu, ale nie dość długie, aby mnie ponownie wywołano na salę, co mi zawsze w dziecinny sposób psuje humor.

Kiedy w maju 1934 r. płynię statkiem do Stanów Zjednoczonych, boleje nad niskim poziomem współpasażerów.

Nie mogę pozbyć się uczucia pewnego zawstydzenia z powodu ich całkowitej niewiedzy o mojej egzystencji. Ze strony kapitana również nie doświadczyłem żadnej szczególnej grzeczności.

A przecież wymienia się go jednym tchem z autorem Fausta, nawet Henryk Mann (z którym stosunki są teraz zupełnie inne — patrz niżej) powiada o jego „zespoleniu z Goethem, polegającym na infantylnej grze identyfikacji”. Tomasz przyjął to za dobrą monetę i przymiotnika „infantylny” nie przyjął do wiadomości. Zwłaszcza, że otrzymuje tyle pełnych podziwu i uwielbienia listów — „podobne dostawał swego czasu Goethe”, notuje w wieczór wigilijny 1935 roku.

Koniec złudzeń

Mówiliśmy już, że nastawienie Manna do czasopisma „Die Sammlung” i w ogóle do literatury emigracyjnej było podyktowane względami oportunistycznymi, choć w gruncie rzeczy pisarz nie krył się w *Dziennikach* ze swoim wrogim stosunkiem do hitlerowskiego reżimu. Wrogim, lecz nie wolnym od różnorodnych złudzeń. I tak Mann łudził się, podobnie jak wielu innych, „że reżim musi upaść przez swoje bezwstydne zakłamanie”, łudził się w sierpniu 1934 co do stanowczości i dyplomatycznej zręczności Francji (słusznie narzekając stale na ustępliwość i krótkowzroczność Anglii), w której nawet *front populaire* w 1936 r. wraz z również idealizowaną „socjalistyczną mentalnością” budził w nim

zgoła niewczesne nadzieje, podobnie jak postawa Związku Sowieckiego. „Jego życzliwy bądź tolerancyjny stosunek do totalitaryzmu sowieckiego pochodził stąd — twierdzi Ignazio Silone (w rozmowie z Herlingiem-Grudzińskim, patrz *Dziennik pisany nocą. 1983–1984*) — że astronomiczne cyfry nakładów Goethego w ZSRR przesłaniały mu cień łagrów. Rozumował jak członek kasty wybranych”, którego dzieła, dodajmy, też ukazywały się w Moskwie w wysokich i znakomicie honorowanych nakładach. Nie tylko dlatego, lecz także z chęci znalezienia i utrzymania punktu oparcia w czasach umacniania się III Rzeszy, Mann długo wierzył, bo chciał wierzyć, w zbawczą rolę Związku Sowieckiego, w czym, jak wiadomo, bynajmniej nie był na Zachodzie odosobniony. Dopiero osławione procesy moskiewskie zaczęły mu otwierać oczy. Pod datą 20 sierpnia 1936 czytamy w *Dziennikach*:

Przykre wrażenie ze słuchania radia Moskwa: relacja z procesu „trockistów” w propagandowym zakłamaniu dorównująca faszystowskim osiągnięciom tego rodzaju, w stylu zupełnie pokrewna. Niedobre i smutne.

A pięć dni później Mann rozwodzi się szerzej „o strasliwym procesie trockistowskich spiskowców”, o mechanizmie doprowadzenia oskarżonych „do takich zeznań, jakie chce usłyszeć rząd”, o „groteskowych przemówieniach wyrażających skrucę” i straceniu „16 skazanych na śmierć”.

Jeszcze przedtem, na początku lutego 1936 pisarz w *Otwartym liście do Korrodiego* (redaktora kulturalnego „*Neue Zürcher Zeitung*”) ostatecznie i po raz pierwszy publicznie odzegał się od III Rzeszy i ogłosił swoją solidarność z emigrantami. Po tym zdecydowanym kroku Klaus Mann pogratulował ojcu tego niewątpliwie „rozstrzygającego dokumentu” i również Erice spadł kamień z serca. Nadeszły też rozliczne długie listy „z wyrazami wdzięczności od ludzi cierpiących, oczywiście przede wszystkim od Żydów”. Ale zatrzymajmy się chwilę przy członkach rodziny Mannów, wciąż tak czy inaczej obecnych na kartach *Dzienników*.

Henryk

W latach emigracji stosunki między Tomaszem Mannem a bratem Henrykiem były, jak już wspomnieliśmy, zupełnie inne niż dawniej. Spotykali się w południowej Francji, gdzie Henryk mieszkał w Nicei, i Tomasz podziwiał go z powodu jego większej odporności psychicznej, uważając obecnie brata za politycznego sprzymierzeńca. Niemniej i teraz nie łączyła ich prawdziwa przyjaźń i to nie z winy Henryka. Jego listy były o wiele serdeczniejsze niż listy Tomasza, który pisywał bardziej sztywno, nieraz trochę protekcyjnie.

Pod datą 17 listopada 1933 czytamy:

przyszło niemieckie wydanie *Nienawiści* [*Der Hass*] Henryka, po obiedzie trochę ją czytałem, wstrząśnięty jej patosem, mimo pewnych słabości, błędów i rzeczowych omyłek. Najlepszy jest w tym duży szkic wstępny, którego zamieszczenie jest moją заслуżą.

Później, we wrześniu 1935, Tomasz już bez zastrzeżeń, ba, z niezwykłym u niego entuzjazmem akceptuje powieść brata *Młodość króla Henryka IV*:

Wyjątkowa książka [...] o wiele przewyższająca wszystko, co dzisiaj wydaje się w Niemczech, wielkie bogactwo i skala artystyczna środków, duże wycucie historii, pogłębione przez obecną rzeczywistość i często, aż nazbyt często do niej nawiązujące, mocne i dodające odwagi przez bezlitosną duchowo-moralną pogardę dla ludzkiego zablakania i głupoty [...]. Wielkie ogólne wrażenie: dzieło, które przynosi zaszczyt emigracyjnemu wydawnictwu i całej emigracji a po zmianie sytuacji doczeka się w Niemczech wysokich ocen.

Tylko z dwoma niewspółmiernymi faktami Tomasz nie mógł się pogodzić: że Henryk sprowadził do siebie z Berlina swoją „ordynarną przyjaciółkę” (jak czytamy wielokrotnie w *Dziennikach*) Nelly Kröger, z którą ożenił się potem w 1939 r., oraz że gloryfikował Stalina, ulegając różnym wpływom z „dziecinnego braku krytycyzmu”, co zresztą było szczerą prawdą.

Miłość, obojętność, awersja

Z dzieci Tomasza najwięcej pochwał zbiera w *Dziennikach* z lat 1933–1936 Erika, jak zawsze dzielna i myśląca. Ona uratowała ze skonfiskowanego domu w Monachium „rękopis trzeciego tomu Józefa wraz z materiałami”, ona, obecnie najukochańsza córka, zdradzająca od najmłodszych lat zdolności aktorskie, zainaugurowała jeszcze w rodzinnym mieście 1 stycznia 1933 literacko-polityczny kabaret „Die Pfeffermühle” i uzyskawszy, nie bez trudności, od władz szwajcarskich zezwolenie na przeniesienie go do Zurychu kontynuowała tam od 1 października 1933 z małym zespołem przedstawienia, cieszące się — ku radości, dumie i wielkiemu wzruszeniu nie raz bywającego na nich Manna — olbrzymim powodzeniem. I to mimo burd na sali i tumultów ulicznych, wszczynanych przez miejscowych i zapewne też nasłanych z Niemiec pravicowych czy wręcz hitlerowskich awanturników i bojówkarzy, tak że okresowo policja musiała eskortować młodą kobietę w drodze z domu i do domu. Zachodziła nawet obawa, że Erikę zamierzają porwać do III Rzeszy. Ona się jednak niczego nie bała. Później, podczas wojny, niezwykle odważna *US War Correspondent*, a jednocześnie podczas urlopów jedyny akceptowany przez Manna

doradca w sprawach literackich (np. pozwalał jej skracać za długie odczyty i teksty, a nawet skreślać pewne dłużyzny w *Doktorze Faustusie*). Przed lutym 1936, jak już wiemy, coraz silniej razem z bratem Klausem naciskała na ojca, by nareszcie i ostatecznie zerwał wszelkie więzy z hitlerowskimi Niemcami. Chociaż te żądania z czasem przybierały wręcz ультymatywny charakter, pisarz, przyznający im w duchu rację, nie wziął ich Erice za złe. Na jej trzydzieste urodziny w dniu 9 listopada 1935 czytamy w *Dziennikach*:

Ale dziecko, nasze pierwsze dziecko, kocham z całego serca i z pogardliwym oburzeniem bronię je przed głupią nienawiścią w domu.

Nie jest jasne, co to w domu tutaj znaczy, czy u Mannów czy w Niemczech (nie wiadomo, kto miały ją tak nienawidzić w rodzinie), lecz mało jest w zapiskach tak dobitnie wyrażonych uczuć ojcowskich, jeżeli pominąć dzieciątko z zachowanej dawniejszej partii *Dzienników*.

W stosunku do ongiś „uroczego” Klauza, zdolnego młodego prozaika, nie dorastającego jednak ojcu do pięt, Mann okazywał obecnie dziwną obojętność, nie interesował się zbytnio, co robi i gdzie się obraca. Między ojcem a synem nie było żadnego bliższego kontaktu. Owszem, Tomasz powściągliwie chwalił książki Klauza (np. zapis z 20 XI 1936: „Wczoraj w nocy długo czytałem *Mefista* Klauza, lekkie i zręczne, moralne oddziaływanie”), lecz tragedii swego najstarszego syna jakby nie dostrzegał. A był on niewątpliwie postacią tragiczną: jako morfinista, homoseksualista i syn sławnego a kochanego bez widocznej wzajemności ojca, w którego cieniu jako pisarz zawsze pozostawał. Uzależnienie Klauza od narkotyku, przedstawione przezeń później w powieści *Wulkan*, nie znalazło w *Dziennikach* żadnego uczuciowego oddźwięku, jest wspomniane z niepojętym obiektywizmem, jak gdyby chodziło o kogoś obcego. To samo dotyczy homoerotycznych, nieraz ocierających się o szwajcarską policję, perypetii i kochanków Klauza (z wyjątkiem jednej adnotacji: „Jestem jeszcze ciągle zbyt wrażliwy w tych sprawach”), materii przecież bliskiej autorowi *Śmierci w Wenecji*, który zresztą i teraz wielokrotnie wspomina swoje własne dawne sympatie i zawsze żywo reaguje na obecność jakiegoś przystojnego młodzieńca. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Klaus i właściwie wszyscy członkowie rodziny (poniekąd poza Katią i Eriką) byli dla Tomasza Manna jedynie statystami, jedynie tłem dla jego osobistych spraw i problemów, dla jego twórczości oraz namiętej miłości do siebie samego. Chyba, że ktoś wyświadczył mu jakąś ważną przysługę, jak to zrobił Golo Mann, który przyczynił się do uratowania dawnych „kompromitujących” *Dzienników* (choć przez szofera — konfidenta nazistów — dostały się potem, na szczęście przejściowo, w ręce władz) i tak zaskarbił sobie wdzięczność

ojca, który raz po raz pisze o nim, wyjeżdżającym w 1936 r. do Pragi: „Niechętnie widzę odjazd dobrego chłopca”.

„Dobry chłopiec”, dziś sędziwy a bardzo znany i wybitny myśliciel, eseista i historyk wspomina jednak Tomasza Manna bardzo źle, jako pełnego rezerwy i chłodu despotę, narzucającego całej rodzinie „przeróżające” milczenie. W każdym razie Mann wyhodował w „dobrym chłopcu” taki kompleks niższości, że zaczął on na dobre pisać i publikować dopiero po śmierci ojca, kiedy miał już 46 lat. W swojej książce *Erinnerungen und Gedanken* (1986) Golo Mann powiada, iż w domu zawsze trzeba było siedzieć cicho, również przy posiłkach, znosić wybuchy gniewu ojca, nie wchodzić do jego pracowni, chyba że czytał na głos coś ze swoich utworów, co uchodziło w rodzinie za święto. Wtedy wolno było i należało dyskutować, lecz Medi, ongiś ukochane „dzieciatko”, obecnie mieszkająca i wykładająca po angielsku w Halifax w Kanadzie Elisabeth Mann Borgese, autorka sześciu napisanych książek i licznych prac naukowych, zaangażowana bojowniczką o czystość mórz, nigdy wówczas w Zurychu nie otworzyła po czytaniu ojca ust. W wywiadzie udzielonym wysłanniczce „Die Zeit” w grudniu 1987 ani o Tomaszu Mannie, ani o nikim innym z rodziny nie wyraziła się z sentymentem, ba, z zainteresowaniem, wyjąwszy brata Michaela, zwanego w młodości Bibi, później znanego muzyka i wreszcie germanisty, którego ojciec od początku „nie cierpiał” (według świadectwa Golo), choć chwilami cieszył się z jego muzycznych postępów.

Również dla Moniki Tomasz Mann nie miał serca. Świadczy o tym charakterystyczna uwaga z września 1934:

K. jest zdenerwowana uporem, niewdzięcznością i hipochondrią pacjentki Moniki, której choroba okazała się żółtaczką. Lekarz dr V. Schulthess przychodzi codziennie. Byłoby lepiej, gdyby dziecko przeszło to we Florencji

— gdzie studiowało muzykę, a więc u obcych, z dala od rodzicielskiego domu! A jednak Monika, nowelistka i eseistka, m. in. autorka znakomicie napisanych wspomnień *Wergangenes und gegenwärtiges*, (1956), nie ocenia ojca, podobnie jak Erika i Klaus w swoim autobiograficznym *Punkcie zwrotnym* (*Der Wendepunkt*, niem. wyd. 1952) tak negatywnie, czy w ogóle negatywnie jak Golo, względnie nie okazuje wobec niego tyle obojętności, co Elisabeth. W oczach Moniki był tolerancyjną instancją domową, patronującą swoim dzieciom z daleka, również ich nauce i szkole, którym zresztą — jak wynika z *Dzienników* — nie poświęcał najmniejszej uwagi. Tymi i wieloma innymi sprawami wyłącznie zajmowała się, zgodnie z monachijską tradycją, zaiste totumfacka Katia Mann, na której głowie spoczywała cała proza życia. Była panią domu, sekretarką, maszynistką, kierownicą, doradcą, towarzyszką w co-

dziennych spacerach, opiekunką itd. itd. Nieraz dochodziło między mężem a nią do „godnych pożalowania” kłótni, do przykrych scen (m. in. na tle erotycznym), lecz w sumie była bezgranicznie i z miłością oddana, choć w swej sympatycznej książce *Moje nie napisane wspomnienia* (niem. wyd. 1974, Katia zmarła w 1980 roku w wieku prawie 97 lat) mimochodem wyznała: „W moim życiu nigdy nie mogłam robić tego co chciałam”. Była przede wszystkim całkowicie podporządkowana woli i twórczości Tomasza Manna, powstawaniu jego dzieł. Niemniej przykre musiało być dla niej, że mąż nie znosił uciążliwych starców, tj. jej rodziców, którzy z Monachium przyjeżdżali w odwiedziny, zawsze prowokując autora *Dzienników* do nieprzychylnych uwag i złośliwostek, jaskrawo odbijających od miłych uwag Klaus Manna o dziadkach w *Punkcie zwrotnym* („das liebe Greisenpaar”).

Autodemaskacja i psychogram odczarowanego „Czarodzieja”

Tak oto doszliśmy do zasadniczego pytania, co *Dzienniki* Tomasza Manna właściwie dają, czy i dlaczego są godne przeczytania, co w nich fascynuje, a co irytuje. Przede wszystkim zwraca uwagę ich absolutna szczerość, że nie są w żaden sposób wystylizowane i ufryzowane, jak np. *Journal* Gide’a. Człowiek, który był znakomitym organizatorem i aranżerem swojej sławy, swojego powodzenia, swojego pozytywnego *image* w świadomości szerokich kręgów czytelniczych, w *Dziennikach* ukazał się bez maski, można wręcz powiedzieć, że się zdemaskował. „Czarodziej”, jak go w domu nazywały dzieci od czasów jakiejś karnawałowej zabawy w Monachium, podczas której pisarz wystąpił w stroju i z atrybutami czarnoksiężnika, w swoich diariuszach odczarował siebie, ukazał się w całej swej psychofizycznej słabości, niekiedy nawet małości, wraz z przeszło dwuletnim kunktatorstwem w stosunku do III Rzeszy, swoją pozycją emigranta z zastrzeżeniami wobec emigracji i kompletnym brakiem proporcji w ekspozowaniu i zestawianiu notowanych zjawisk, co w spontanicznych i właśnie nie fryzowanych zapiskach wydaje się zresztą normalne. Fakt, że „nawet o psie Tobym i jego pociesznych figlach dowiadujemy się więcej niż na przykład o odwiedzinach Tomasza Manna u osiemdziesięcioletniego Zygmunta Freuda albo o rycerskim W. H. Audenie, który ożenił się z córką Eriką jedynie po to, żeby jej pomóc w otrzymaniu ważnego dla przetrwania angielskiego paszportu, nadaje zapiskom charakter czegoś osobliwie nieproporcjonalnego” (dyskusja radiowa w „Deutschland-funk” o *Dziennikach* z lat 1935–1936). Drobne rzeczy wypierają z nich

często istotniejsze, mamy rejestry ciekawych ludzi, z którymi Mann się spotykał, ale przeważnie ani słowa o tym, o czym z nimi rozmawiał, choć niekiedy aż się prosiło, żeby zdać choćby krótką relację.

Przede wszystkim jeśli chodzi o znanych pisarzy. Bo też literatura, sprawy estetyczne, problemy twórcze, nawet własne dzieła autora grają w *Dziennikach* stosunkowo małą, przeważnie drugoplanową rolę, a w każdym razie — z wyjątkami — tylko krótko czy ogólnikowo odnotowane giną w morzu codzienności i okresowo w morzu polityki. Najwięcej dowiadujemy się jeszcze o perypetiach wydawniczych Manna, lecz te też są w dużej mierze funkcją polityki, jego stosunku do rewolucyjnych i kontrrewolucyjnych tendencji po pierwszej wojnie światowej, a zwłaszcza do hitleryzmu przed drugą. W sumie, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z dziennikami wielkiego pisarza, odczuwa się duży niedosyt, a nawet partiami pewne zażenowanie. A jednak...

A jednak *Dzienniki* stanowią nader ciekawy psychogram ułomnego w gruncie rzeczy (również moralnie), pożeranego ambicjami, wciąż łaknącego samopotwierdzenia i namiętnie zakochanego w sobie egocentryka, który przez to samo, że był wielkim pisarzem, niejako przenosi swoje często rażące przywary i właściwości na wyższy poziom i nadaje im szczególne znaczenie. Choćby przez to, że sporo z nich spożytkował potem w swoich dziełach. A zresztą, jak powiada osiemnastowieczny mistrz aforyzmu Georg Christoph Lichtenberg: „Można ganić wady wielkiego człowieka, ale nie należy z tego powodu ganić jego samego”. Zwłaszcza jeżeli dał jednak interesujący dokument burzliwej, ba, dramatycznej epoki oglądanej przez indywidualistę uświadamiającego sobie prawdę przede wszystkim ... o sobie samym. O sobie samym w zderzeniu z rzeczywistością, w jakiej przyszło mu żyć.

Egon Naganowski